

Polskie dzieci w Nowej Zelandii

Na początku II wojny światowej, na rozkaz Stalina, ponad półtora miliona Polaków wypędzono ze wschodniej Polski i zesłano do obozów przymusowej pracy na Syberii, w Kazachstanie oraz innych obszarach Związku Radzieckiego. Z czasem udało się polskiemu rządowi emigracyjnemu rozesłać dzieci tych zesłańców w różne części świata, w tym do Nowej Zelandii.

Poniżej publikuję wywiad z siostrą zakonną, która jest świadkiem wyżej wspomnianych wydarzeń.

Siostra Stella (Józefa Wrotniak)

Ja: Kiedy rodzina Siostry została deportowana na Sybir?

S: Okupanci przeprowadzili spis polskiej ludności i inwentarza. Te wszystkie „sprawdziany” wroga nasuwały nam bardzo złe przeczucia, które niebawem się sprawdziły. 10 lutego 1940 roku w mroźną noc o 1:30 rano rozległo się pukanie do drzwi domu. Uzbrojeni Rosjanie pobudzili wszystkich w domu i oznajmili, że za pół godziny mamy wyjechać. Mój ojciec westchnął: „Pewnie nas wywiozą na Sybir” lecz jeden z nich powiedział, że przewiozą nas w bezpieczne miejsce. Myśmy im nie wierzyli, mieliśmy swoje zdanie, które niebawem się potwierdziło.

Ja: Ile wtedy Siostra miała lat?

S: Gdy spokojny, rodzinny tryb życia zakłóciła nam wojna w 1939 roku miałam wtedy 16 lat, a najmłodsze bliźnięta miały zaledwie 2 lata.

Ja: Jak wyglądała wasza podróż ?

S: W Lesku czekał na nas pociąg z bydłocymi wagonami. Do jednego załadowali nas wraz z czterema rodzinami z naszej kolonii.

Ja: Jak wyglądał ten wagon i ile ich jeszcze było?

S: Tych wagonów było bardzo dużo. W wagonie było małe zakratowane okienko, a w podłodze wyrąbany otwór do wychodzenia za potrzebą. Po obu stronach wagonu była podwójna prycza, na której leżeli ściśnięci ludzie, usiąść można było jedynie w pochyłej pozycji. Byliśmy stłoczeni jak śledzie w beczce.

Ja: Mielicie coś do jedzenia i picia?

S: Przez wiele dni odżywialiśmy się tym, co mieliśmy przy sobie, dzieląc się wzajemnie z towarzyszami niedoli, ratując na pierwszym miejscu dzieci. Nie było wody. Gdy udało się zaczerpnąć przez zakratowane okienko trochę śniegu, starano się gotować na tzw. Cyganku.

Ja: Co działo się jeszcze podczas przejazdu przez Rosję?

S: Kiedyś w czasie podróży pociąg stanął w pustym polu. Przez kratę okienka dało się zauważyć kapustę pokrytą śniegiem. Ktoś spróbował otworzyć drzwi i okazało się, że nie były zamknięte od zewnątrz. Parę osób wyskoczyło z pociągu – zdążyli urwać po kilka główek kapusty i wejść do wagonu zanim pociąg ruszył w dalszą drogę. Zauważyliśmy także łąny zbóż i ziemniaków pokrytych śniegiem, na których widok aż serce bolało, że wszystko to marnowało się, gdy tylu ludzi głodowało.

Ja: Czy Siostra wysiadła z wagonu?

S: Gdy wjeżdżaliśmy w głąb Rosji, wagony nie były pozamykane, toteż niektórzy Polacy, gdy pociąg stanął na stacji, wychodzili z nich, by coś kupić do zjedzenia. Zdarzało się, że pociąg ruszał w dalszą drogę bez ostrzeżenia i niektórzy ryzykanci nie zdążyli wrócić do swoich rodzin. Raz i ja z chrestną wyszłam na jednej za stacji dużego miasta (nie pamiętam nazwy), by obejrzeć sklepy.

Ja: Ile trwała cała podróż?

S: Po kilkutygodniowej podróży w zaduchu i niewygodzie, zimne i głodzie, przywieziono część rodzin polskich do Swierdłowskiej Oblaści. Cały pociąg nie dojechał do tego miejsca, bo po drodze odczepiono wagony, ludzi kierowano do prac w kopalniach, kołchozach w lasach przy ścinaniu drzew. Nas przydzielono do pracy

w tartaku. Mówiono, że jest to największy tartak na całym świecie, w którym pracowało przeszło 2000 ludzi.

Ja: Gdzie mieszkaliście ?

S: Rodzinę naszą, liczącą siedem osób, umieszczono w małym pokoiku dużego baraku, gdzie było tylko jedno żelazne łóżko. Nie pamiętam jak się urządziliśmy – cierpienie zatarło mi w pamięci część przeżyć. Barak był ogrodzony wysokimi, kolczastymi drutami – naokoło tajga. Dawano do jedzenia jakąś zupę i 200 gramów chleba, jak glina, którego bez ususzenia nie dało się zjeść.

Ja: Jak zachowywali się Rosjanie w obozie?

S: Komendant obozu dziwił się i złościł, że mu przywieziono do pracy rodziny z dziećmi i starców, a nie przestępców, jak go wcześniej informowano. Wiele razy przychodził potrzebującym z pomocą materialną. Wstawiał się też za tymi, którzy nie poszli do pracy z powodu choroby, bo tym, którzy nie mieli zwolnienia od „lekarza” groziło wyrzucenie z pracy, lub wywiezienie w nieznane strony.

Ja: A jak byliście tam traktowani?

S: Byliśmy traktowani jak niewolnicy. Nie ustawały jęki cierpiących i konających. Codziennie wynoszono trupy, wkładano je do skrzyń zbitych z surowych desek i chowano w tajdze. Nasze życie nie miało żadnej wartości dla oprawców. Rodziny zostały zdziesiątkowane, a zdrowi czekali na niechybną śmierć, bo nie było nadziei na wydostanie się na wolność z tego obozu zagłady.

Ja: Co działo się dalej?

S: Nagle doszła do nas wiadomość, że pozostali jeszcze przy życiu Polacy objęci są „amnestią”. Różnie mówiono na ten temat, aż wreszcie zdecydowano się wrócić do kraju. Jak się później okazało, Polacy uwierzyli kłamliwej propagandzie komunistów, którzy nas wysłali w nieznanym kierunku w takim, jakim chciało NKWD. 15 września 1941 roku znowu rozpoczęła się wędrówka.

Ja: Gdzie potem Siostra trafiła?

S: Jechaliśmy przez Czemkent, Taszkent, Leninabad,

Samarkandę do Kirgistanu i z powrotem do Taszkentu, trzy razy tą samą trasą, tam i z powrotem, następnie do Uzbekistanu. Część Polaków zostawiono w Kirgistanie, część w Uzbekistanie, resztę zawieziono do Kazachstanu.

Ja: Czy w tym czasie w rodzinie Siostry była jakaś tragedia?

S: Z początkiem grudnia 1941 roku nasze czteroletnie bliźnięta zachorowały na odrę. Ciało Teresy owinięto w prześcieradło i pochowano na stepie. Za trzy dni umarła druga z bliźniąt Weronika. I ta po śmierci była piękna i wyglądała jak żywa. Młodzi Polacy pomogli nam ją pochować. Po śmierci moich dwóch siostrzyczek tatuś ciężko zachorował i już nie wstał z barłogu. Zaniemógł na nogi i męczył go ostry kaszel.

Ja: Czy stało się coś dobrego?

S: Po przyplłynięciu do portu w Pahlewi komisja angielskiego Czerwonego Krzyża, ustawiając nas w rzędach, badała stan naszego zdrowia. Chorych odsyłano do szpitala, zdrowych do Teheranu. Z moimi dwiema siostrami zostałam zaliczona do grupy chorych i skierowana na miesięczną kwarantannę.

Ja: Jak tam żyło się Siostrze?

S: W Rosji Pan Bóg chronił mnie od chorób. Widocznie miał względem mnie jakieś ukryte plany, a teraz musiałam odpokutować, bo organizm był wycieńczony. Dwa miesiące leżałam w szpitaliku na zapalenie stawów. Zapadłam na malarię, a następnie na świnkę. Wyglądałam jak świeca woskowa – dziewczynki uciekały ode mnie, myśląc, że jestem chora na gruźlicę.

Ja: Czy zostaliście w Persji, obecnym Iranie?

S: Dzięki życzliwości premiera Petera Frasera Rząd Nowej Zelandii wysłał do Polskiego Rządu na Uchodźstwie zaproszenie na przyjazd polskich dzieci do ich kraju. 27 września 1944 roku opuściliśmy Isfahan, jadąc autobusami do Sułtanabadu, gdzie znajdował się obóz wojska amerykańskiego i gdzie przyjęli nas bardzo gościnnie. Dalej jechaliśmy pociągiem do Ahwazu na dwudniowy postój. Potem udaliśmy się pociągiem do irańskiego portu Chorramszahr. Wsiedliśmy na bardzo niewygodny angielski statek towarowy.

Siódmego dnia podróży morzem, dotarliśmy do Bombaju, wielkiego portu w Indiach. się do olbrzymiego transportowca, okrętu amerykańskiej floty USS General Randall.

Ja: Jak przywitano Was w Nowej Zelandii?

S: Rankiem następnego dnia okręt zacumował. Na brzegu czekały na nas tłumy uśmiechających się ludzi. Na statku powitał nas sam premier Peter Fraser oraz konsul polski dr Kazimierz Wodzicki z małżonką. Panie z Czerwonego Krzyża, wojskowi i harcerze zajęli się rozlokowaniem nas w wagonach, podano nam posiłki. Przez całą sześciogodzinną jazdę pociągiem do obozu w Pahiatua, przy każdej stacji witali nas dorośli i dzieci, machając do nas chusteczkami i podając nam kwiaty .

Ja: Czy w nowym kraju Siostra znalazła pracę?

S: Rozpoczęłam pracę w prywatnym zakładzie krawieckim, do którego dojeżdżałam autobusem. Właściciele byli zadowoleni z naszej pracy, a dawne pracownice musiały się stać gorliwszymi. Niedaleko naszego miejsca zamieszkania, na wzgórzu, górował kościół św. Gerarda, gdzie uczęszczałam na mszę św. w niedziele i święta. Nasza gorliwość zaraziła koleżanki, Nowozelandki, które zaczęły nas naśladować.

Ja: Czy była Siostra tam szczęśliwa?

S: W tym dobrobycie czegoś mi brakowało. Utwierdziłam się w przekonaniu o moim powołaniu do zakonu i nie chcąc być w klasztorze angielskim udałam się do księdza Platera, który wskazał mi Zgromadzenie Sióstr Nazaretanek i załatwił wszelkie formalności związane z podróżą do Rzymu na studia. Święta Bożego Narodzenia spędziłam ostatni raz w Pahiatua, wraz z moimi dwiema młodszymi siostrami. Zapytałam je czy mogę wyjechać do zakonu za granicę. Z bólem serca odpowiedziały: „Tak, jeżeli będziesz tam szczęśliwa, to jedź”. 7 maja 1949 roku wsiadłam na okręt pasażerski Rangitiki wraz z kilkoma dziećmi wracającymi do rodzin w Polsce, z którymi załatwiono mi wspólną podróż do Europy.

Adrianna Ordys
Szkoła Podstawowa w Pstroszycach
klasa szósta